

Uladzimir Niaklajeu

"W delegacji do stanu wojennego"

Fragment powieści „Gai Ben Hinnom”

("Gehenna ognista")

Tłumaczenie z białoruskiego

**Jakub
Biernat**

Hol warszawskiego hotelu, w którym zakwaterowano delegację białorusko-sowieckich pisarzy był wypełniony młodymi panienkami.

– Co to, macie tu zlot polskich komsomołek – spytał Wiktar recepcjonistę, a ten nieprzyjaźnie odburknął: – Chyba zlot polskich kurew. Dawno nie mają zajęcia, a dowiedziały się, że w naszym hotelu będzie delegacja zagranicznych turystów. – Jakich zagranicznych? – No was. Innych obcokrajowców do Polski nie wpuszczają. A i kto przyjedzie, kiedy jest stan wojenny? – My przyjechaliśmy. – Was wysłali – i recepcjonista po zameldowaniu Wiktara, nie podał mu jego czerwonego paszportu, ale rzucił nim.

W warszawskich sklepach były same pustki. Nie było nawet pończoch, nie mówiąc o sukienkach – prostytutki były gotowe przyjmować opłatę za obsługę w czymkolwiek. Choćby za czekoladki. Ale członkowie

delegacji sprawiali wrażenie, że czekoladek akurat nie mają.

Wieczorem Czesław Lubcza, z którym Wiktar poznał się w czasie, gdy ten pracował jako korespondent Polskiego Radia w Moskwie zapytał: – A ty po co tu przyjechałeś? Chyba cię nie zapraszałem? A skoro tak, to jedź z powrotem!

Oni wszyscy – recepcjoniści, prostytutki, korespondenci Polskiego Radia, sprzedawczynie w pustych sklepach, każdy robotnik w Gdańsku i każda sprzątaczką na warszawskim dworcu, każdy przechodzień na warszawskiej czy krakowskiej ulicy bali się jednego: że do Warszawy, jak nie tak dawno do Budapesztu czy Pragi wjadą sowieckie tanki. A delegacja białorusko-sowieckich pisarzy była dla Polaków załogą jednego z tych czołgów, które stały za Bugiem.

– A ty jesteś dowódcą tego czołgu – powiedział mi Czesław, który jako tłumacz wreszcie zgodził się na spotkanie z Wiktarem, poetą. – Rozumiem, że to honor mieć w swoim czołgu mechanika-kierowcę Tankiewicza i dowódcę wieży Brylca, ale sam rozumiesz, w co się wpakowałeś?

Wiktar w końcu zdał sobie z tego sprawę, gdy pod koła autobusu, którym razem z zespołem ludowym muzyki i tańca jechali na występy, ktoś rzucił trzylitrowy słoik z

olejem. A pod sceną domu kultury, w którym mieli występować znaleziono bombę domowej roboty. Jednak dzięki Bogu udało się dojechać i wszystko skończyło się na rozkwaszonych nosach i wybitych zębach. Kierowcy udało się utrzymać autobus na kołach. Choć zniósł słupki i zjechał na pobocze, to jednak się nie przewrócił. – A to Polaczki – kierowca wycedził przez zęby wybite kierownicą. – Tak to nie mają dzieci czym karmić, a sami olej słoikami na drogę wylewają!

– Dokąd ty nas przywiozłeś? – spytał Wiktara wycierając krew z warg oszołomiony Czarhinau – Dokąd i po co? – na co Tankiewicz zareagował rozdrażnieniem: – Iwan, dzieckiem nie jesteś! I nie udawaj, że nie wiedziałeś, dokąd jedziesz i dlaczego? – Jednak i po nim było widać, że w pełni zdał sobie z tego sprawę dopiero teraz.

Pierwszego dnia delegację białorusko-sowieckich literatów obwozili po gabinetach partyjnych aparaczyków, większych i mniejszych kierowników, którzy prawie się od siebie nie różnili. A do tego wszyscy mówili dokładnie to samo: że czas teraz ciężki, ale on przeminie i mostów braterstwa, jakie przerzucono przez Bug, nikomu nie uda się zniszczyć. Gdy drugiego dnia ci sami ludzie przywitali ich w Związku Pisarzy Polskich, Tankiewicz nie wytrzymał: – Więcej tych inżynierów dróg i mostów nie zniosę!

– Z nikim z uczciwych ludzi nie mogę was umówić – odrzekł Lubcza, gdy Wiktar zapytał, czy delegacja może zobaczyć się nieformalnie z kimś z warszawskiej inteligencji. – Wszyscy porządni literaci, malarze, muzycy albo siedzą, albo są na emigracji. Zostały tylko te kurwy w gabinetach, dokąd was prowadzą. To się z nimi i spotykajcie.

– Nie mamy tyle czekoladek. – odpowiedział Wiktar. – Jakich czekoladek – zdziwił się Czesław. Słyszając tłumaczenia Wiktara wybuchnął: – A odwal się ty od naszych kurew. Wasze będą nam obciążać, jak do was pojedziemy, a nasze was zatłuką.

Widząc te panienki z hotelowego holu, Wikar mógłby polemizować z tą opinią, ale wycofał się z tego planu. Po raz pierwszy oglądał Czesława Lubczę, Białorusina z Nowogródczyzny, w roli tak nieprzejednanego Polaka: – Teraz to i ty musisz być Polakiem, teraz wszyscy porządni ludzie są Polakami. Tylko Jaruzelski to wyrodek, co z Breżniewem się obściskuje i jest gotów wprowadzić wojska do Polski. Wręcz prosi o osiem dywizji, razem z Niemcami i Czechami. I wyobraź sobie co z tego będzie! Krew! Wojna!

Gdy mijali Brześć, Wiktor dostrzegł, że w mieście jest o wiele więcej wojska niż zazwyczaj. Akurat, zupełnie się nie kryjąc się, obok przechodziła nowa wojskowa kolumna. Pomyślał, że nie chowają się, by nastraszyć.

Ale kiedy dołączają sojuszników, gdy zbierają kolejną „Międzynarodówkę”, to już nie jest zwykłe straszenie.

– Skąd wiesz o wojskach?

– Od Czechów, ty myślisz, że oni zapomnieli o sowieckich czołgach? Myślisz, że nie mamy tam swoich ludzi? Trwają przygotowania do okupacji, a Jaruzelski posadził wszystkich, którzy byli gotowi oddać życie za kraj. Cała Solidarność siedzi za kratami. A tych, którzy jeszcze nie siedzą, jest gotowy rozstrzelać, jak niegdyś robotników w Gdańsku.

Czesława zatrzęsło, gdy to mówił. I wyglądał tak, jakby Wiktar był wśród tych, którzy strzelali do gdańskich robotników.

– No dobrze, Jaruzelski-Jaruzelskim, czołgi-czołgami, ale co mi do tego?

– Jak to co? Ty się nie całowałeś z Breżniewem?

I białoruscy poeci w Mińsku, i polscy tłumacze okazywali się bardziej godni, bo nie całowali się z Breżniewem.

Wiktar zresztą nie poczuł się urażony przez Czesława – niby za co? Jeżeli uważasz, że jutro ze wschodu przyjdzie do ciebie wojna i widzisz przed sobą takiego człowieka Wschodu, nawet przyjaciela, to nie takie słowa mogą paść. A do przyjaciela tym bardziej. – Sowietci ojca mojego zagnali do łagru pod

Nowosybirskiem, a teraz idą tu, by mnie wykończyć! A ty z nimi! I chcesz, żeby cię jeszcze witać z otwartymi rękami?

Ojciec Czesława Lubczy umarł w syberyjskim łagrze. Czesław mówił: „Rosnąc bez ojca i będąc miękkim z natury, ukształtowałem w sobie żelazny charakter. Życie mnie tak nauczyło”.

Po wojnie jego matka przeniosła się z Białorusi do Polski i Czesław, białoruski nacjonalista, który w Związku Młodzieży Białoruskiej śpiewał „Wyjdziemy szczerymi szeregami”, stał się do tego polskim nacjonalistą.

– Nie wszyscy porządni ludzie wyjechali, ty przecież zostałeś – przekonywał Wiktar zaciętego podwójnego nacjonalistę, by ten znalazł jakiegokolwiek z polskich literatów i zaprosił na spotkanie z znanymi białoruskimi pisarzami. Ktoś jeszcze mógł zostać i wszyscy oni wiedzieli, kim jest Tankiewicz, Brylec.

– Na miejscu jest Jan Twardowski – twardy z charakteru, a miękki z natury – Czesław powoli zaczął się łamać. – On jest nie tylko poetą, ale też księdzem. Tylko jak go zanęcić. Dzisiaj akurat wygłasza kazanie w Kościele Wizytek. Przyjdźcie, każdy może posłuchać. A potem się zobaczy...

Spotkali się w mieszkaniu Twardowskiego. Gospodarz zaprosił też pół tuzina parafian, którym kazanie nie

wystarczyło. Mówił im, że „złem może być nawet dobro, jeżeli jest ono obce. Lubię kaszę i tobie też dam i ty ją polub. Dlaczego, bo ja ją lubię! I tak mam, a więc ty też miej tak samo! A jeśli ktoś nie lubi kaszy, a woli kluski, to ja mam to gdzieś”.

Po takim kazaniu zaproponował przywitać gości ze Związku Sowieckiego, a parafianie tłumacząc się ważnymi sprawami jeden po drugim wymykali się. Została tylko siostra wizytka, która usługiwała w domu i łysiejący facet w okularach, który zapytał: – Ojczy, a może gości przywitam wierszem? – i rozpoczął

*Czekamy ciebie, czerwona zarazo,
byś wybawiła nas od czarnej śmierci,
byś nam Kraj przedtem rozdarłszy na ćwierci,
była zbawieniem witany z odrazą!...¹*

Wiktor znał wiersz Józefa Szczepańskiego, napisany pod koniec lata 44' roku, gdy Niemcy rozprawiali się z powstańcami warszawskimi, a Armia Czerwona stała pod Warszawą i nie było jej spieszno, by im pomagać. Lubczy, który kiedyś w Moskwie przeczytał mu wiersz „Czerwona zaraza”, dowodził, że sowieckie wojska nie wyzwoliły wtedy Warszawy na rozkaz Stalina, który podobno miał powiedzieć: „Czym więcej polskich nacjonalistów i niemieckich faszystów wykończy się nawzajem, tym lepiej”. A Szczepański pewnie nie

wiedząc o tych słowach musiał się tego domyślić, układając w swój ostatni wiersz tyle nienawiści do „czerwonej zarazy. I teraz prawie po 40 latach, ona aż wirowała, wyrywała się z tego łysiejącego faceta w okularach, że aż ciężko było to znieść. Pierwszym, który w Związku Pisarzy nie wytrzymał był Tankiewicz. Podniósł się – Dziękuję panie Janie – i poszedł, a Twardowski odpowiedział: -Proszę bardzo – i nie pożegnał się, a ni nie zatrzymał żadnego z członków białoruskiej delegacji, która gęsiego ruszyła za Tankiewiczem.

– Sam Tego chciałeś! Sam prosiłeś o spotkanie z kimś porządnym! – Czesław odgryzł się Wiktarowi na jego pretensje – To czego ode mnie chcesz?

Wiktar nie chciał już niczego – nie wiedział, gdzie się podziać. Po powrocie do hotelu, gdzie jeszcze na czekoladki czekało parę panienek, wspomniął jak Czesław mówił „Polskie kurwy cię wykończą”. Dwie z nich zabrał do pokoju i pił z nimi całą noc przywiezioną wódkę. I z taką nienawiścią, z jaką czytał wiersz o Armii Czerwonej facet w okularach, krzyczał w hysterii: – Kurwy...! Co ja mam do tego, że latem 44’ sowieckie czołgi nie weszły do Warszawy, stały za Wisłą? Co ja mam do tego, że jesienią 82’ sowieckie czołgi stoją za Bugiem, by wejść do Warszawy? – Uspokoił się dopiero, gdy jedna z nich najbardziej pijana i podobna

do kurwy, wypaliła mu w twarz: – Sam jesteś kurwa – i poszła sobie nie biorąc czekoladek.

Kurwa!

Rankiem zatelefonowałem do Hanny: – Ja twojego ojca o nic nie prosiłem, wszystko co robił, robił z własnej woli, a teraz proszę: niech coś wymyśli, żeby dziś czy jutro wezwali mnie do Moskwy, inaczej się tu zastrzelę, słyszysz, zastrzelę się. – W odpowiedzi usłyszałem:

„Strzelaj...! Nie rozumiesz, że teraz po donosie Maćwiejewa, twój wyjazd do Warszawy to test i jeżeli go oblejesz, możesz się zastrzelić – rzuciła słuchawkę. Dalsze trzy godziny przesiedział patrząc tępo w lustro i obejmując głowę rękami – nienawidząc faceta, którego widział w odbiciu. I wtedy zadzwoniła Hanna: – Powiedziałam Hraczynowi, że jeżeli jesteś szefem delegacji, to trzeba ci nadać odpowiedni status. Hraczyn dogadał się na temat twojego spotkania z Jaruzelskim. A po nim czekać cię będzie występ w polskiej telewizji.

Kurwa!

Wszędzie tylko kurwy! Kobiety, mężczyźni, poeci, faceci...! W Warszawie, w Moskwie...!

Po powrocie z Indii do Moskwy czekał na wezwanie na Łubiankę, którego jednak nie było. Jednak, co go bardzo zdziwiło, dostał telefon z Mińska: – Terminy wyjazdu do Polski uzgodnione z polskimi towarzyszami, a wy jako szef grupy zgłosicie się jutro o

10 po instrukcje do Domu Przyjaźni. – Ledwie zdążył na nocny pociąg i całą podróż zastanawiał się, co miałyby to znaczyć. Ale nic nie wymyślił. Z dworca od razu pojechał do Domu Przyjaźni, gdzie dwóch „instruktorów” – kagiebista i człowiek z KC długo dukali na temat niezwykle pokomplikowanej sytuacji politycznej i możliwości prowokacji w Polsce. Nie dodali jednak, że przyjazd sowieckich literatów i tancerzy w czasie, gdy na granicy stały czołgi, w istocie są prowokacją.

Gdy wyjeżdżali z Brześcia w dwa autobusy, widzieli te czołgi, a Brylec zauważył: – Będą stać, aż pod nasz autobus podłożą bomby. I wtedy ruszą na Warszawę.

Wiktarowi takie coś nie mieściło się w głowie. Stwierdził, że to był żart. Ale zmienił zdanie, gdy Brylec opowiedział mu, jak po powrocie, przerażony tym, co zdarzyło się na polskich drogach i o bombach w salach koncertowych, artyści całowali brzeską ziemię: „Też kiedyś całowałem niegdyś rodzimą ziemię. To było po drugiej wojnie, po powrocie z niewoli...”

W drzwi zastukał recepcjonista. Ten sam, który rzucił jego paszportem przy rejestracji. Tym razem była od niego unізoność.

– Samochód czeka na pana.

Coś za szybko? Był wymięty, nieogolony. A za dwie godziny ma jechać do Białegostoku. Tankiewicz,

wczoraj, jak wyszli od Twardowskiego, zapytał: – Po co tak łazimy, dokąd ty nas prowadzisz. Do obcych. Jedźmy lepiej do swoich. I sam umówił się na spotkanie dziś z Białorusinami w Białymstoku. A Wiktar jak w Mińsku czy Moskwie ciągną to do swoich, to do obcych?

– Co za samochód?

– Od towarzysza Jaruzelskiego – portier poinformował z przejęciem. Nie był on zwolennikiem władz, ale z jego oblicza łatwo było odgadnąć, że nie był przejęty strachem, a wpadł w rodzaj mistycznego drżenia na widok władzy. Szczęścia, że niemal jej dotknął, a niechby nawet za pośrednictwem jakiegoś człowieka sowieckiego.

Wiktar znał to dobrze, wszyscy tak mają – także Polacy, nawet u ultra-Polaków z tą ich całą pychą.

– Proszę powiedzieć, żeby chwilę poczekał, muszę się umyć i ogolić.

Recepcjonista popatrzył na niego ze współczuciem: – Lepiej już chłopie wyglądać nie będziesz.

– Kazali się pospieszyć, towarzysz generał nie będzie czekał – z uporem zastygł w drzwiach. A Wiktar wspomniał nieboszczyka generała Stuarta, który nie miał problemów z brakiem czasu, ale i tak bywało, że gdzieś się spieszył: pojawiał się i znikał.

Jak on to mówił? W tym życiu zdążamy jedynie rozpiąć i zapiąć guzik?

Schodząc na dół, Wiktar zaszedł do Tankiewicza, powiedział, że nie uda mu się dotrzeć na czas do Białegostoku – bo coś mu wypadło w Warszawie. Tankiewicz spojrzawszy na niego stwierdził: – Widzę, że coś ci wypadło.

Zapięty na ostatni guzik, Minister Obrony, Przewodniczący Rady Ministrów, Pierwszy sekretarz KC PZPR, przewodniczący Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, generał armii Wojciech Jaruzelski przyjął Wiktara w pomieszczeniu niezbyt podobnym do gabinetu. Stała tam kanapa, stolik z taboretami i miękkim dywanem jakie zazwyczaj polegują w sypialniach oraz obrazkami na ścianach. Wśród nich wisiało czarno-białe zdjęcie, na których Jaruzelski w ciemnych okularach (żeby nie widzieć, z kim się całuje – pomyślał Wiktar) całował się z Breżniewem. Ściana wokoło ramki, tak na 10 cm. była nieco jaśniejsza, to znaczy nietknięta słońcem. Na tym miejscu musiało zatem wisieć coś większych rozmiarów, a zdjęcie z pocałunkiem i powiesili niedawno, jeśli nie dzisiaj.

– Co u Wasila Dżiamianowicza? – Generał podając rękę, od razu dał pojąć dlaczego przyjmuje Wiktara. – Jest pan jego zięciem? Jestem z nim w niezłych stosunkach. Może nie przyjacielskich, ale niezłych. On, jakby to powiedzieć... to człowiek do rzeczy. – Gestem

zaprosił, by usiadł. – A pułkownik Mikołaj Marher to nie pańska rodzina? Pochodzi z Białorusi, ale nie pamiętam skąd. Przez parę lat służyliśmy razem, kiedy on jeszcze nie był pułkownikiem. Czyli rodzina, czy po prostu tak samo się nazywacie?

Wiktor spodziewał się wszystkiego, tylko nie takiego początku rozmowy. Gdy wieźli go do Jaruzelskiego, będąc zupełnie nieprzygotowany do spotkania, konwulsyjnie myślał: co powiedzieć? Od czego zacząć? Może z tego co mu wkładali do głowy podczas instruktarzu w Domu Przyjaźni?

„Wszędzie powtarzacie słowa Leonida Ilicza, że Związek Sowiecki nie porzuci bratniej Polski w biedzie i zawsze pomoże polskiemu narodowi?”. Wplatał te słowa na spotkaniu w Związku Pisarzy Polskich, jednak nawet tam brzmiały one w inny sposób niż w Domu Przyjaźni. Ale tu, żeby powiedzieć te słowa potrzebny był Breżniew, nie on. Jednak tu jest on sam i o czym ma mówić z szefem państwa? Chyba o niczym? Chyba, że o wujku, który uciekł do Polski od razu po wojnie i o którym we wszelkich ankietach w rubryce „Czy masz krewnych za granicą?” pisał, że nie ma.

Za każdym razem, gdy pisał to „nie ma”, było mu wstyd, bo jakby wyrzekał się kropli swojej krwi. Raz, gdy postawił w tej rubryczce kreskę, zwrócono mu ankietę jako nieodpowiednio wypełnioną: – Napiszcie: ma czy nie ma.

I jeżeli napisałby, że ma i porównaliby tę ankietę z poprzednimi, dowiedzieliby się, że mataczył. I już więcej nie wydawaliby mu żadnej ankiety ani w celu otrzymania nagrody czy wyjazdu zagranicznego.

– Wujek – powiedział Jaruzelskiemu – wujek rodzony. Pochodzi z Krewy.

– Tak, z Krewy! – Jaruzelski udając, że cieszy się z odzyskania pamięci dodał – Pański wujek opowiadał, że, gdy po wojnie już przy władzy radzieckiej, zebrali wszystkich w Krewie na placu i kto Polak na prawo, kto Rosjanin na lewo. O Białorusinach nawet nie wspomnieli. I wtedy on pomyślał, że skoro przyszli Rosjanie i nawet słowa o Białorusinach nie powiedzieli, to lepiej zostanę Polakiem, a co tam będę Rosjaninem. I choć bracia nie puszczali: „A ty dokąd, Polaków wystrzelają za Armię Krajową!” – zaryzykowałem, poszedłem na prawo – i zostałem pułkownikiem Wojska Polskiego. Proszę co oznacza jeden krok w naszym życiu. Może pojawiajemy się na tym świecie, żeby zrobić w nim ten jeden krok!

Powiedział to tak, że nie szło zrozumieć o co chodzi i Wiktar nieoczekiwanie dla siebie samego poczuł szacunek do tego okazującego oznaki zmęczenia człowieka, który był w stanie wziąć na siebie taką odpowiedzialność. I pomyślał, że zrobienie tego kroku nie jest jak zapięcie guzika i żeby stać się politykiem

trzeba być człowiekiem ulepionym ze zwierzęcego mięsa z nieczłowieczym umysłem.

– Choć można też zrobić krok nie w tę stronę – Jaruzelski zabujał się na taborecie – Jak mój dziadek wiosną 1939 r. przyjechał z całą rodziną do Wilna. A na jesieni Wilno trafiło w ręce Sowietów i wszystkich Polaków zesłali na Syberię. Bez pytania. Tam w obozie w Kraju Ałtajskim ojciec pozostał na zawsze. Nie było trumny, by go pochować, więc okręciłem go jak całunem w gazety Prawda, robiąc spustoszenie w obozowej prenumeracie. Tam właśnie w Kraju Ałtajskim, pracując przy wyrębie lasu, zachorowałem na ślepotę śnieżną i teraz nie mogę patrzeć bez ciemnych okularów. Przez to wasz przyjaciel Lubcz... Kawy? Proszę nalewać. I mi też... Pewnie chce pan wiedzieć, skąd wiem, że jest pańskim przyjacielem? Mój pomocnik pokazał przed naszym spotkaniem gazetę Trybuna Ludu, gdzie wydrukowano pański wiersz. Niezły przekład. I dlatego, że chodzę w ciemnych okularach, Lubcza wymyślił dla mnie przezwisko „spawacz”. Choć kiedyś też się przyjaźniliśmy. Byliśmy razem w stowarzyszeniu rodzin represjonowanych: jego ojciec, tak jak i mój, nie wrócił z Syberii. I między innymi, gdy pracowałem w Głównym Zarządzie Politycznym zarekomendowałem Lubczę na korespondenta Polskiego Radia w Moskwie, a on mi właśnie w podziękowaniu przyklepił przezwisko

„spawacza”... Dlaczego nie pije pan kawy? Tu nie Syberia, ale wystygnać może...

Co do gazety Prawda, to Jaruzelski sobie to wymyślił. Pewnie owinął nieboszczyka ojca w parę gazet, ale kto by mu tam dał zszywkę Prawdy spustoszyć. Jednak całej reszty wymyślić, nie mógł.

Z kim nie pogadasz, czy z Kryczem, czy Lubczą, czy z Różewiczem, czy wreszcie z Jaruzelskim, to zawsze ktoś z rodziny był zesłany na Syberię. I nawet ten człowiek, który dowodzi wojskami, służbami, stoi na czele całkiem sporego kraju w Europie, w blasku syberyjskich śniegów zachorował na śnieżną ślepotę, by przez całe dalsze życie patrzeć na świat przez ciemne okulary! Co za metafora, Robercie...!

Od Hraczyna Wiktar wiedział, że szefowie krajów bloku wschodniego zazwyczaj są wyznaczani w Moskwie. Skoro więc jego rozmowa z Jaruzelskim z politycznej, na którą Wiktar nie był gotowy („Związek Radziecki nigdy nie opuści bratniej Polski”), dzięki wujkowi Mikołajowi i Lubczy nabrała osobistego charakteru – odważył się zapytać:

– A jak pana jako dawnego elementu antysowieckiego, łagienika umieścili na fotelu szefa państwa?

– Siedzę na taborecie – Jaruzelski spojrzął pod nogi, poprawił okulary, które zsunęły mu się z nosa. I obrócił się w kierunku drzwi, przez które wszedł człowiek w

mundurze – jego pomocnik – Co tam – Do telefonu proszą. Moskwa – Kto? Towarzysz Hraczyn. Wcześniej niż było umówione – Powiedz, że rozmawiam z tym, kogo on do mnie wysłał. – Powiedziałem. Ale on nie o tym – A o czym? – Breżniew umarł – Kto?. – Towarzysz Leonid Ilicz Breżniew...

Przez chwilę Jaruzelski patrzył na swojego przybocznego i milczał. Potem odwrócił się w kierunku fotografii, na której całował się z Breżniewem. Przez ciemne okulary nie widać było wyrazu jego twarzy, ale Wiktorowi wydawało się, że twarz Pierwszego Sekretarza Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, któremu doniesiono o śmierci sekretarza Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, nie zmieniła się ani na jotę.

– Tak! – Gwałtownie podniósł się z siedzenia. – Teraz nikt nie namówi go, żeby wprowadził wojsko! – I podał Wiktorowi rękę. – Powiem towarzyszowi Hraczynowi o dobrej z panem rozmowie. A pan powie Lubczy, który krzyczy, że pragnę krwi, że jej nie chcę. Jakbym chciał, to on dawno by zamilkł. Może pan to nawet powiedzieć w telewizji.

Ostatnie słowa wymówił generał z grymasem na policzku, udowodniwszy po raz pierwszy w czasie całej rozmowy, że ma nerwy.

Po wyjściu z KC, gdy Wiktar oddawał swoją przepustkę, dogonił go asystent Jaruzelskiego: – Prosimy przekazać, tow. Hraczyn przekazał, że teraz może pan jechać do Moskwy. A delegacja ma wracać do Mińska.

Na ulicy już czekała telewizja – Czy to prawda, że Breżniew zmarł...?

Nic więcej ich nie interesowało. Ani on sam, ani delegacja pisarzy, ani muzyka ludowa z tańcem. Kamerzysta obserwował czekająco, dziennikarka wetknęła mikrofon pod brodę, trzęsły jej się ręce – tak chciała jako pierwsza przekazać tę wiadomość. Wiktor tymczasem powiedział, że Leonid Iljicz nigdy nie opuści z braterskiej Polski, zawsze pomoże Polakom, a dziennikarka spojrzała na niego i zamrugła oczami.

Gdy wrócił do hotelu, recepcjonista razem z kluczem wręczył mu kartkę od Tankewicza. „Dzwonili z Domu Przyjaźni i kazali nam jechać z Białegostoku do Mińska. Mówili też, że (według pogłosek) L.I. zmarł, a tow. And. został mianowany przewodniczącym komisji pogrzebowej. Do zobaczenia w domu Tankewicz”.

Wróciwszy do pokoju, położył się na kanapie i długo leżał, wpatrując się w sufit. Jeśli Andropow zostanie przewodniczącym komisji pogrzebowej, zastąpi Breżniewa, który już w niczym nie pomoże Polsce. Wiktarowi też nie pomoże, gdy donos na Maćwiejewa wyjdzie na jaw.

Przypomniął sobie wieczorną rozmowę z Breżniewem w dacy Hraczyna i złapał się na tym, że mu żal z powodu śmierci tego człowieka. I nie dlatego, że mógł pomóc. Nie wiadomo, czy w ogóle by pomógł... Ale jeśli za Chruszczowa, który nazwał Stalina despotą, uwięziono tysiące politycznych, to za Breżniewa, który milczał o Stalinie, dziesiątki. I to mimo wszystkich anegdot o drogim Leonidzie Iljiczu.

Trzeba by wypić za jego pamięć. Tak, ale nie ma z kim. Chyba że z dziwkami...

Zadzwoił telefon. Hanna: – Wiesz już wszystko ? – Nie wszystko. Dlaczego nie Hraczyn? Albo ktoś inny? – Ponieważ u Andropowa są kompromaty na wszystkich ... – i powtórzyła, co powiedział jej ojciec. O tym, że Breżniew umarł w rządowej dacy w Zareczu, a jako pierwszego poinformowano o śmierci Sekretarza Generalnego KC KPZR, przewodniczącego KGB ZSRR Andropowa, który jako pierwszy przybył do dacy. Zabierając z biurka Breżniewa teczkę z kompromatami o wszystkich członkach Biura Politycznego, wezwał do Zarecza ministra obrony Ustiewa i sekretarza KC Hraczyna. Cała trójka siedziała przy łóżku zmarłego, a Andropow, na którego kolanach leżała znana im wszystkim teczka, zaproponował, żeby natychmiast podjęto decyzję, kto będzie następcą Leonida Iljicza. Ustiew, który wprawdzie miał armię, ale nie miał teki na kolanach, zdecydował, że następcą

powinien być Andropow, a Hraczyn, który nie miał ani armii, ani teki, poparł propozycję Ustiewa.

I tak... We trójkę zdecydowali, kto będzie rządził krajem. I że będzie to KGB. Ono i tak rządziło, ale nie bezpośrednio, a teraz już bezpośrednio.

– Nie masz się czego obawiać – powiedziała z pośpiechem Hanna, jakby bała się, że się rozłączy – Andropow ma teraz dług wdzięczności wobec Hraczyna, jakby co... – To ci Hraczyn powiedział? – Ja ci to mówię. A Centralny Komitet Związków Zawodowych pyta, kiedy wrócisz do pracy. Gdyby coś byłoby nie tak, nie pytaliby. Więc wsiadaj do pociągu. – Bilet pierwszej klasy? – Możesz też jechać drugą. Ostatni raz...

Odłożył telefon, poszedł do łazienki i przejrzał butelki z wczorajszej hulanki. W niektórych na dnie zostało jeszcze trochę, wlał to wszystko do jednej szklanki. Uszanował pamięć, tak jak to robi prosty naród...

Być może pod Breżniewem życie tego prostego narodu toczyło się w najodpowiedniejszy sposób? Było co zjeść i co wypić. Może bez frykasów, ale było. A co najważniejsze: było po równo. Tak, Hraczyn może i jadł lepiej, ale chodził przez lata, jak Susłow, w tym samym garniturze. Niektórzy mieli tajne sklepy dla wierchuszki, inni chodzili do sklepu Bieriozka, ale większość miała po równo. I to była taka, jakby

sprawiedliwość, przez brak której ten naród rzucał się w wir buntów i rewolucji. A i tak to jego wieszali, rozstrzeliwali, zapędzali do łagrów. I choć wydawało się, że ten etap już się skończył, jednak wszystko to mogło zacząć się od nowa...

Telefon zadzwonił ponownie. Tym razem Lubcza: – Breżniew zmarł. Andropow go zastąpi. KGB. I nie cofnie się przed niczym, by stłumić ruch wolnościowy w Polsce. Organizujemy demonstrację przeciwko wkroczeniu wojsk sowieckich. Jeśli jesteś Wiktaorem Marherem, którego znałem wcześniej, musisz nas wesprzeć.

Nie wie, czy jestem tym, kim byłem wcześniej, ale wie, że Breżniew nie żyje i że Andropow będzie na jego miejscu. Chociaż nigdzie nie było o tym informacji. Okazuje się, że nie trzeba żadnych gazet, radia i telewizji.

– Czesław...

– Dobrze? Co?

– Chcesz, żebym nie miał dokąd wrócić?

– Chcę, żebyś miał z kim zostać."

– A gdzie zostać? W Polsce, gdzie wkroczą wojska sowieckie?

– Jeśli wszyscy wyjdziemy na ulicę, nie wejdą. Trzeba nie dać Jaruzelskiemu okazji do ich zaproszenia. Poleje się krew.

– Powiedział, że nie chce krwi.

– Komu powiedział?

– Mi.

– Byłeś u tej gnidy?

– Byłem.

– Ta-a-k... A jak się usprawiedliwisz?

Dlaczego niby musi się usprawiedliwiać? Nawet przed Lubczą albo kimkolwiek A się tłumaczył:

– Czesław, ja mam ukochaną w Moskwie.

Lubcza zamilkł. Po chwili powiedział:

– To jest jakiś argument. Ale możesz go używać tylko przed samym sobą.

I w słuchawce usłyszał dławiące krótkie sygnały.

Nie było już nic do picia, Wiktor ubrał się i wyszedł na zewnątrz. Poszedł do baru na ulicy Marszałkowskiej, w którym tłoczyli się pijacy. Wziął wyborową, skulił się przy stoliku w kącie.

Kiedyś w tym barze przy tym stole napisał wiersz „Nowe Świat”, który Czesław przy tym samym stole natychmiast przetłumaczył.

NOWY ŚWIAT

Pogrzeb Stalina.

Moskwa czuwa

Dalekowzrocznie.

Przerażający łeb

Jaszczura

Kremlooskooczny.

Wyszli na ulice

Warszawiacy

I głucho stali.

– *Solidny ludek ci Polacy*

—

Zauważył Stalin.

I Beria zgodny:

– *Cóż, jak się patrzy,*

Wszyscy w żałobie...

Tylko ten babsztyl

Nic z rozpaczy

Nie robi sobie.

Zwinąć tę jędzę...!

Wyzywająco,

Godnie i śmiało

Szła Nowym Światem

Wbrew tym stojącym

Niewiasta w białym.

Snajper z Łubianki,

Wściekły wyraźnie,

W cel wlepił gały,

Trzykroć się złożył...

Trzykroć się zbłąźnił,

Bo spóźnił strzały.

Gapi się Beria

W swe okulary –

Pince-nez spotniały:

– *Na Boga! Koba!*

To jakieś czary!

Ona – bez ciała...!

A z boku spojrzysz –

Niby potulna

Laszka

Przekłęta!

Wtem od Stalina

Dobiegło z trumny:

«Strzeż się, Laurenty...!»

Nic to, że bledną

Przy jednej Polsce

Dwie ruskie gejsze.

Ale że dusza

Jej cię nie słucha –

Znacznie groźniejsze!

Jak naród ćwiczyć

Na krótkiej smyczy

Ucz się do grobu.

Wolność istnieje

Tylko w idei.»

«Wiem o tym, Koba».

Strzał drugi, trzeci...

Wszystkie spóźnione,

Choć niedalekie.

Snajper z Łubianki

Minął się z celem

O całe wieki.

Każda epoka

W krąg ukorzenia

Swoje kanony:

Skrwawiony welon

W sztandar się zmienił

Biało-czerwony!

Nie ma wolności?

Oto jej rozkwit

Na śmierć tyranom:

Trupy tyranów

Ciskano w Moskwie

Pod Kremla ściany.

W łągrach GUŁagu	Już się i wolność
Jeszcze trzeszczały	Z tła wyłaniała:
Leśne poręby,	Ludzie widzieli
A już imperium	Białą Niewiastę.
Z hukiem pękało	A to – Warszawa
Gubiąc swe zęby.	Szła cała w bieli.

Na wszystko poszło siedem kufli piwa, trzy dla autora i cztery dla tłumacza. Po skończeniu czwartego Czesław się nakręcił: – Przeczytajmy tym pijaczkom! – Czytali „Pogrzeb Stalina”.

– Moskwa czuwa. Dalekowzrocznie. Przerazający łeb Jaszczura Kremlooskooczny – pijaczkowie zaklaskali, ruszyli do ich stolika z piwem. A barman zza kontuaru zakrzyknął: – Stawiam wyborową!

Teraz pijaczkowie byli jacyś nie tacy, podobnie barman. – Niech wszyscy komuniści zginą! – barman krzyknął nagle, podnosząc kieliszek, a wszyscy zerwali się z miejsc: „Niech zginą!”. Wiktor nie wstał, wypił na siedząco, a jego sąsiad chwycił go za klapy płaszcza, tak silnie, że aż puścił szew: – Dlaczego siedzisz? Jesteś komunistą?

Gdy wyszedł z baru, został zatrzymany przez patrol: rozpoczęła się godzina milicyjna. Pokazał paszport,

milicjanci pokręcili go w rękach, nawet nie otwierając:
– Godzina milicyjna jest dla wszystkich, zarówno dla Rosjan, jak i dla pijaków – ale nie zatrzymali go i zaprowadzili do hotelu.

– Szukałem pana – przywitał go recepcjonista. – Kiedy pana nie było, zadzwoniła kobieta i powiedziała, że kupiono już panu bilet na nocny pociąg do Moskwy i będą czekać na dworcu, koło kasy nr 1, żeby go przekazać. Jeśli pan się pospieszy – recepcjonista spojrział na zegarek – to się uda.

Recepcjonista nie wiedział, kto dzwonił i kto kupił bilet, a Wiktar pomyślał, że może to być koleżanka Hanny, która mieszka w Warszawie – jest dziwką i do tego to lubi. Kiedy po zebraniu rzeczy opuszczał hotel, wręczając recepcjoniście ostatnią bombonierkę, ten krzyknął za nim: – Proszę poczekać! Przypomniałem sobie! Kobieta prosiła, żeby powiedzieć, że bilet jest na pierwszą klasę.